

Michał Okoński

Zobaczyłem wystawę, która rozpałała Polskę. Kim byli „nasi chłopcy” z Wehrmachtu?

Podczas II wojny do Wehrmachtu wcielono blisko pół miliona Polaków. W 1945 r. jedna trzecia polskich żołnierzy na Zachodzie miała za sobą służbę w wojsku niemieckim. Takich dziadków mają setki tysięcy Pomorzan i Ślązaków. Czy to „nasi chłopcy”?

Z przedwojennej fotografii spogląda, uśmiechając się do obiektywu, mężczyzna w oficerskim mundurze. Przysiadł na płocie. Objął w pasie chłopca w dwurzędowej marynarce. Różnica wieku między nimi jest równie widoczna, jak podobieństwo: są braćmi. Starszy to Alojzy Bruski, „Grab” – legendarny dowódca partyzantki w Borach Tucholskich, który zostanie zamordowany przez komunistów w 1946 r. Młodszy o 11 lat Ambroży będzie wcielony do niemieckiej marynarki. Zginie na Morzu Śródziemnym jako dziewiętnastolatek.

Z tablicy w kościele św. Piotra i Pawła w Pogódkach nikt nie spogląda. W latach 70. umieszczono tu tylko dane 149 poległych i zaginionych w czasie wojny parafian, ułożonych według porządku: nazwisko, imię, data urodzenia, gdzie zginął, kiedy.

Dwie ostatnie pozycje mogłyby wystarczyć właściwie za cały ten artykuł. Są tu miejsca straceń, dokonywanych przez hitlerowców w pierwszych miesiącach okupacji: Skarszewy i Jaroszewy 1939. Są obozy koncentracyjne: Stutthof 1944, Mauthausen 1941, Dachau 1944, Oświęcim 1942. Ale są i inne pozycje: Leningrad 1942, Smoleńsk 1943, Stalingrad 1943 albo po prostu „Front wschodni”. Łatwo wywnioskować, że ok. 40 proc. wymienionych było żołnierzami Wehrmachtu.

Zygryd Knopa i Teofil Kotlewski walczyli pod Monte Cassino. Nie podano, po której stronie. Znamy natomiast z książki Melchiora Wańkowicza historię urodzonego na Śląsku Cieszyńskim Jana Gazura. „Dyć nie strzylejcie, jo Polok” – wołał z na wpół zburzonego bunkra, a później – jeszcze w mundurze niemieckim – dołączył do polskiego natarcia.

Co widziałem na wystawie „Nasi chłopcy”

Zdjęcie braci Bruskich oraz tablicę „Pomordowani, polegli i zaginieli z parafii Pogódki” zobaczyłem na wystawie „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy”. W połowie lipca 2025 r. to najgłośniejsza propozycja spośród oferowanych przez polskie muzea – choć skromność przeznaczona na nią powierzchnia i zainwestowanych w nią środków jest odwrotnie proporcjonalna do otaczających ją emocji.

Tylko w ciągu dwóch dni następujących po tym, jak skrytykowali ją prezydent Andrzej Duda, wicepremier Kosiniak-Kamysz czy prezes Kaczyński, z internetowymi informacjami na stronie organizatora zapoznało się 37 milionów użytkowników – ale nie oznacza to, że do kas stoją kolejki. Można by rzec: całe szczęście, bo niewielkie pomieszczenia nie są przygotowane na przyjęcie więcej niż kilkudziesięciu osób równocześnie.

Ściany i gabloty wypełniają głównie rodzinne fotografie, dokumenty czy listy, a do tego np. elementy żołnierskiego ekwipunku, m.in. bluza w kolorze *feldgrau*. Ktoś przyzwyczajony do multimedialnego rozmachu współczesnych muzeów mógłby właściwie wzruszyć ramionami, ale kiedy przechadzam się po przyciemnionej przestrzeni, mam poczucie, że wokół nie ma ani jednej obojętnej osoby.

Przy wejściu rzecznik Muzeum Gdańska Andrzej Gierszewski trafia akurat w krzyżowy ogień pytań Telewizji Trwam, a gdy parę minut później rozmawiam z dyrektorem placówki Waldemarem Ossowskim, w dialog włączają się zwiedzający.

Co mówili?

Turystka z Katowic – pani w średnim wieku, w modnych okularach – słyszy, że pytam o możliwość zmiany tytułu wystawy, i przekonuje, że to zły pomysł. Wspomina monodram „Mjanujom mie Hanka” i tłumaczy, że na Śląsku „naszych chłopców” również znalazłoby się mnóstwo (przykładowo: autor monodramu, Alojzy Lysko, niegdyś poseł PiS zresztą, napisał też książkę „To byli nasi ojcowie” i stał się bohaterem filmu „Dzieci Wehrmachtu” nakręconego podczas poszukiwań grobu ojca, zaginionego podczas walk na froncie wschodnim).

Młody mężczyzna w czarnym podkoszulku również zatrzymuje się przy nas, ale tylko po to, by powiedzieć, że wystawa jest skandaliczna. Nie chce wytłumaczyć, dlaczego tak uważa, ale być może za chwilę zrobi to na piśmie. Świadczenia reakcji zwiedzających można znaleźć na karteczkach przypinanych we wnęce przy wyjściu.

Cytuję kilka sąsiadujących ze sobą: „To Niemcy byli KATAMI – Polacy OFIARAMI”. „To jedna z lepszych wystaw, jakie widziałam. Trzeba doprawdy dużo złej woli, żeby jej nie zrozumieć. Beata”. „Nie żyliśmy wtedy, nie wiemy już, jak było ciężko. Nie oceniamy”. „Typowa niemiecka perfidia. Z tą wystawą jest tak, że jeszcze trochę, a Wehrmacht okaże się instytucją charytatywną, a nie ludobójczą armią III Rzeszy, w której służyli Niemcy, którzy chcieli pozabijać inne narody”. Oraz: „Kto fałszuje historię, jest kłamcą”.

Czym na Pomorzu była volkslista?

Odpowiedź na pytanie, czy wystawa fałszuje historię, jest prosta. Podczas II wojny w Wehrmachcie służyło co najmniej 300 tys., a najpewniej pół miliona Polaków (ku tej liczbie skłania się najwybitniejszy badacz zjawiska, prof. Ryszard Kaczmarek), w ogromnej większości mieszkańców Górnego Śląska i Pomorza – terenów wcielonych do Rzeszy w 1939 r. Przytłaczającą ich część umieszczono wcześniej w III Grupie Niemieckiej Listy Narodowej, czyli osławionej volkslisty (w skrócie DVL) jako częściowo zniemczonych i nadano obywatelstwo niemieckie – na 10 lat, z możliwością odebrania.

Ów wpis – wyjaśnijmy tym, którym słowo „folksdojcz” kojarzy się z realiami Generalnego Gubernatorstwa i kolaboracją – na Pomorzu to nie był ochotniczy akces. Wypełnienie szczegółowej ankiety i badania rasowe przed wpisaniem na DVL były na tych terenach obowiązkowe, za odmowę groziło wysłanie do obozu koncentracyjnego. Świadom tego rząd na uchodźstwie nie potępiał wpisywanych na listę. W przypadku okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie trafił na nią blisko milion ludzi, z czego prawie 85 proc. otrzymało III grupę.

Tych ostatnich hitlerowcy uważali jednak za obywateli drugiej kategorii – a po poborze do wojska, prowadzonym coraz bardziej panicznie w miarę klęsk na froncie wschodnim – także za żołnierzy drugiej kategorii. Rekruci pochodzący z terenów wcielonych mieli do poszczególnych plutonów trafiać pojedynczo i nie mogli awansować wyżej niż do stopnia starszego szeregowego.

Dlaczego Polacy służyli w Wehrmachcie?

Wszystkie te informacje wypisałem z książki Kaczmarka *Polacy w Wehrmachcie* jeszcze w pociągu do Gdańska, ale na wystawie też je znalazłem. Szybko zyskałem również poczucie, że z początkowym szokiem – wywołanym zdjęciami młodych mężczyzn w hitlerowskich mundurach i towarzyszącym im zdaniem „Byli to ludzie stąd, a więc »nasi chłopcy«” – można sobie poradzić, nie tylko czytając tekst tłumaczący intencje kuratorów:

„Tą wystawą próbujemy wyjaśnić, jak to się stało, że trafili do obcego wojska. Próbowujemy też znaleźć odpowiedź na następujące pytania: dlaczego później starano się o nich zapomnieć, dlaczego oni sami często odcinali się od tej przeszłości i dlaczego dzisiaj czasami wolimy milczeć, niż opowiadać ich historię?”

Pierwsze plansze opowiadają wszak o terrorze, który rozpętał się po wejściu wojsk niemieckich.

„Do grudnia 1939 r. na Pomorzu zamordowano, głównie w masowych egzekucjach, 30–40 000 obywateli polskich oraz Polaków z Wolnego Miasta Gdańska” – czytamy w podpisie do pierwszej fotografii, przedstawiającej egzekucję w okolicy Rudzkiego Mostu; kolejny rekwizyt to karta obozowa więźnia Stutthofu – osadzonego za odmowę przyjęcia niemieckiego obywatelstwa.

Ekscytacja?

Z pewnością są na wystawie zdania, które bez kontekstu wydadzą się bulwersujące. „Gdy wyjeżdżali z rodzinnych miejscowości, towarzyszył im strach, przynęcenie, ale nierzadko i ekscytacja nowym doświadczeniem i możliwością zobaczenia nieznanych dotąd stron” – czytamy o rekrutach.

I w tym przypadku trudno jednak mówić o kłamstwie: cytowane przez Kaczmarka listy młodych żołnierzy przynoszą np. liczne dowody fascynacji życiem francuskich miast. „Byłem już sobie Atlantyk obejrzeć – pisze do żony Józef Smyczek. – Nie masz pojęcia, co to za straszliwa woda, a jaki ona ogromny huk robi”.

Ale może problem w tym, że prawda historyczna i ludzki los nie dają się sprowadzić do propagandowego obrazka. Pewnie dlatego na wystawie znajdziemy np. zdjęcia kobiet, świadczące o nawiązywanych przez żołnierzy relacjach, które zwykle nie przetrwały końca wojny. Pewnie dlatego też wcielonych do Wehrmachtu rodaków z Pomorza i Śląska nie uważali za zdrajców dowódcy Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) na Zachodzie: w Muzeum Gdańska wyeksponowano rozrzucone na Wale Atlantyckim ulotki w języku polskim, zachęcające do przejścia na stronę aliantów.

W 1945 r. na 250 tys. żołnierzy PSZ blisko 90 tys. stanowili ci, którzy przeszli przez Wehrmacht – czasem dezterterzy, głównie jeńcy, wyszukani przez oficerów łącznikowych w organizowanych przez aliantów obozach. Nie wszyscy od razu

decydowali się na zmianę munduru; Teofil Biolik ze Świerczyńca wspomina, że najpierw się nie zgłosił, bojąc się, że zatłuką go niemieccy współsadowi.

„Polacy w mundurach Wehrmachtu patrzyli na wojnę i jej przebieg racjonalnie – pisze Kaczmarek. – Nie byli uwiedzeni przez Hitlera, jak wielu Niemców. Zgodnie z regułą, która na pograniczu narodowościowym jest głęboko utrwalona w świadomości zbiorowej, historii nie należy się przeciwstawiać, bo zmiażdży wszystkich i wszystko, co stanie na jej drodze. Trzeba więc było »ustępować, aby zwyciężyć«”.

Autor *Dzieci Wehrmachtu* wspomina o naturalnej u młodych postawie „fascynacji wojną, traktowania jej jako przygody”. Oraz o zdarzających się faktycznie kolaborantach. Między nimi a polskimi patriotami, którzy konspirowali i dezertowali (na wystawie przedstawiono Edmunda Tyborskiego ze Swornych Gaci, który za ucieczkę z Wehrmachtu został zgilotynowany), było szerokie kontinuum postaw.

„Największa część po prostu dopasowywała się do istniejących warunków i poszukiwała możliwości przeżycia, nawet za cenę moralnych i politycznych, daleko idących kompromisów” – pisze Kaczmarek. W sumie brzmi to jak opowieść o naturze ludzkiej. Czy nie tak właśnie można by opisać funkcjonowanie większości Polaków w narzuconej przez komunistów po 1945 r. rzeczywistości?

Czym była wojna?

Wojna była tu tylko próbą ostateczną – i napisałbym, że wokół tego tematu prosiłoby się otworzyć kolejną salę, gdyby nie świadomość, że temperatura awantury rozsądziaby wówczas termometry. Po dotarciu żołnierzy na front, zwłaszcza wschodni, jakakolwiek ekscytacja wyparowywała. Pewne wyobrażenie o tym mogą dać zmiany widoczne na pokazywanych w Gdańsku portretach nastoletniego Brunona Kresimona, zrobionych w latach 1942-44.

„Na froncie człowiek przyzwyczaja się do tego wszystkiego, co tworzy wspólnotę żołnierską” – czytamy w *Dzieciach Wehrmachtu*.

Wojskowy trening i własny instynkt uczą zabijania; przyzwoitość oznacza przede wszystkim niezostawianie kolegów w potrzebie.

„Żyjemy tu jak szczury. Od jednego bunkra do drugiego wiedzimy głębokie okopy, gliniaste, pełne wody i marasu” – pisze do domu jeden ze Ślązaków, zwierając się z lęku na nocnej warcie, bo „nigdy ma nocy, żeby ruskie zwiadowcy nigdy poderżły naszemu wojakowi gardła”.

Nic dziwnego, że i taka relacja z frontu się znajdzie: „Nigdy mam taki myśli, żeby wyskoczyć z okopu i wystawić się Rusom na strzał (...). Kamraty jednak widzą, po gimnastyce, co wojaka tropi. Poradzom go przyhamować”.

Zarazem jednak rekruci z Górnego Śląska cieszyli się w Wehrmachcie opinią walecznych. Alfons Perlick, cytowany przez Kaczmarka niemiecki nauczyciel i etnograf, pisał wręcz o „żołnierskim geniuszu górnośląskiego górnika”. A Szczepan Twardoch, który losom swojego dziadka z Wehrmachtu poświęcił książkę *Byk*,

narusza jeszcze jedno tabu, jakiego twórcy gdańskiej wystawy postanowili nie dotykać.

„Jak do tej pory, to ci wszyscy nasi dziadkowie w Wehrmachcie byli kierowcami albo kucharzami – mówił o tym w „Gazecie Wyborczej”. – A potem patrzy się na zdjęcie jakiegoś օpy i ten kucharz czy kierowca ma dwa Krzyże Żelazne, odznakę szturmową itd. To oczywiście nie musi oznaczać bycia zbrodniarzem wojennym, częściej zwykle oznaczało męstwo w boju. No ale mogło być różnie”.

Dlaczego o służbie w Wehrmachcie milczeli przez dekady?

„W polityce historycznej powojennej Polski Niemcy stały się symbolem zła, a antyniemieckość – jednym z głównych elementów pamięci kulturowej” – umieszczone na jednej z tablic gdańskiej wystawy zdanie tłumaczy pewnie łatwość, z jaką jej krytycy podsyłali dziś płomień oburzenia.

Trudno się dziwić: zarówno temu, że tak się stało, zważywszy na rozmiar niemieckich zbrodni, jak i temu, że wracający do domów żołnierze Wehrmachtu wybierali różne strategie przystosowania. Symboliczna w tym kontekście jest prezentowana na wystawie maska rdzennego ludu, pochodząca z kolekcji Tony’ego Halika, który został wcielony do Wehrmachtu w 1943 r., we Francji zdezerterował i dołączył do ruchu oporu, a następnie do PSZ. Aż do śmierci w 1998 r. Halik opowiadał, że w 1939 r. ewakuował się z Polski przez Rumunię, służył w RAF-ie, a we Francji znalazł się po zestrzeleniu jego samolotu.

Ślady obecności „po niewłaściwej stronie frontu” niszczone (pamiętam opowieść Jerzego Pilcha, który z wcieleniem ojca do Wehrmachtu mierzył się w *Żółtym świetle*, jak to wrócił kiedyś ze szkoły, a w domu pachniało jak po pożarze, bo „stary palił w sedesie papiery i zdjęcia”). Czasem fotografie retuszowano, jak zdjęcie Wiktora Krajewskiego z rodziną, eksponowane na wystawie w dwóch odbitkach. Na jednej mężczyzna ma mundur Wehrmachtu, na drugiej mundur jest wyretuszowany. „Lubimy zachowywać wizerunki naszej rodziny w albumie, szczególnie z czasów, gdy aparat nie był oczywistością” – piszą kuratorzy. Dzięki retuszowi rodzinna pamiątka mogła przetrwać.

Na ile „Dziadkowie z Wehrmachtu” dotyczą Donalda Tuska?

„Wiele wskazuje na to, że wystawę zorganizowano dla jednego człowieka – głosi portal Wpolityce.pl. – Chodzi o to, żeby konkretny przypadek »dziadka z Wehrmachtu« rozmyć w tysiącach innych i twierdzić, że było mnóstwo »dziadków z Wehrmachtu«”. Co ciekawe: dalsza część tekstu potwierdza, że dziadków było mnóstwo, a z lektury można wyciągnąć również wniosek odwrotny do tego z nagłówka: że to raczej atak na wystawę zorganizowano z powodu jednego człowieka.

Przyznam, że przed obejrzeniem „Naszych chłopców” największe wątpliwości miałem właśnie w związku z przypomnieniem przez kuratorów wyciągnięcia Donaldowi Tuskowi podczas wyborów prezydenckich 2005 historii rodzinnej (dla jasności: Józef Tusk, kolejarz i działacz polskich stowarzyszeń Wolnym Mieście, już drugiego dnia wojny został aresztowany przez Gestapo, trafił na roboty przymusowe, a w końcu do obozu w Stutthofie; do Wehrmachtu wcielono go w sierpniu 1944, w listopadzie był już żołnierzem PSZ). Czy to sami twórcy wystawy nie doprowadzili do jej upolitycznienia?

Na miejscu przeczytałem jednak towarzyszący eksponowanym okładkom gazet z 2005 r. komentarz: „Sformułowanie »dziadek z Wehrmachtu« stało się symbolem, piętnem, który może przynieść kłopoty” – i poczułem się przekonany. Dziadek stał się nieusuwalnym elementem dziejów regionu.

Wkrótce po tamtej burzy reporterka „Dziennika Bałtyckiego” Barbara Szczepuła prześledziła wojenne losy Józefa Tuska. Publikowane przez nią teksty wywołały gigantyczny odzew, a potem złożyły się na książkę. Do autorki odzywali się dawni żołnierze Wehrmachtu, pisały ich dzieci i wnuki.

Naruszono zasłonę milczenia, o której istnieniu świadczy inny wymowny rekwizyt: koperta ze zdjęciami jakiejś rodziny z Gniewina, podarowana w latach 90. muzeum w Wejherowie, a zawierająca m.in. fotografie osób w niemieckich mundurach. Czerwonym długopisem napisano na kopercie: „Nie udostępniać”.

Co oznacza tytuł wystawy „Nasi chłopcy”?

Przymusowe wcielenia do Wehrmachtu nie dotyczyły tylko Ślązaków, Kaszubów lub Mazurów. Podobny los spotykał mieszkańców Luksemburga – i to stamtąd organizatorzy wystawy zaczerpnęli inspirację do tytułu; „Ons Jongen”, jak określano tę grupę Luksemburczyków, to właśnie „Nasi chłopcy”. W Alzacji jednak nazywano ich „Malgré-Nous” – „wbrew naszej woli”. Jechałem do Gdańska także z pytaniem, czy gdyby tak właśnie brzmiał tytuł, awantury by nie było?

Wspomniałem już, że postawiłem je dyrektorowi Ossowskiemu. Nie odpowiedział jednoznacznie – może dlatego, że sprawa zmiany tytułu była wówczas rozważana przez decydentów. Zapewniał, że misją jego placówki jest stwarzanie przestrzeni do wymiany poglądów, dystansował się od polaryzacji. Z tego, że politycznie temat jest gorący, musiał zdawać sobie jednak sprawę: od jednego z gdańskich historyków usłyszałem, że planując wystawę, zadbano, by nie przypadła w okresie kampanii wyborczej i polskiej prezydencji w UE.

Ale może odpowiedź dyrektora nie mogła być prosta z innego jeszcze powodu. Również i dla niego ta historia ma wymiar rodzinny: wcielony do Wehrmachtu brat babci służył na Wale Atlantyckim, trafił do niewoli pod Falaise, gdzie walczyła dywizja generała Maczka, a później został żołnierzem PSZ.

O wojennej odysei wujecznego dziadka historyk dowiedział się przypadkiem. Porządkując domowe papiery, znalazł trzy zdjęcia mężczyzny w mundurze: przedwojennego szwoleżera, żołnierza Wehrmachtu i armii polskiej na Zachodzie. Brata babci nie zdążył o nic zapytać, bo ten zmarł w latach 90., a w domu się o tym nie mówiło. Kolejny modelowy przykład opisywanego tu losu.

Frazę, że to też są „nasi chłopcy”, wielu mieszkańców Pomorza i Gdańska (ale również Śląska) przyjmuje z ulgą. Tu nie chodzi o żadne reparacje, rozmywanie odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie czy co tam jeszcze mogliśmy przeczytać w gniewnych oświadczeniach polityków. Chodzi o traumę, ciężącą nad regionem przez dziesięciolecia. A jeszcze bardziej o to, że – jak stanowi artykuł 1. Konstytucji – „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli”; że obejmuje też tych, którzy mieli pecha urodzić się w niewłaściwym miejscu i czasie, a postawieni przed dramatycznym wyborem próbowali przeżyć.

Jak rozmawiać o Polakach służących w Wehrmachcie?

Rozmawiałem niedawno z Dariuszem Stolą o najważniejszej historycznej debacie III RP – tej wokół „Sąsiadów”. Konkluzja była pesymistyczna: dziś przeprowadzenie podobnej ogólnonarodowej refleksji – zakończonej nie tylko konsensusem naukowym, ale też gestami symbolicznymi przedstawicieli polskiego państwa – byłoby niemożliwe.

Pole debaty się zawęża: na temat gdańskiej wystawy np. wszyscy mają pogląd, choć mało kto ją widział (z polityków pofatygował się jedynie wicemarszałek województwa z PSL). W mediach społecznościowych emocje przeważają nad rozumem, a konflikty eskalują: przypomina się znany z psychologii nieświadomy mechanizm obronny zwany regresją.

Skalę regresji widać także w tym, że dekadę temu, już w czasie rządów PiS krążyła po Polsce wystawa „Dziadek z Wehrmachtu” (pokazywano ją np. w katowickiej siedzibie IPN). Tam również na wielkich planszach eksponowano wesołych chłopców w paradnych mundurach – ale protestów nie było.

Deбата wokół „Sąsiadów”, oprócz wyjaśnienia okoliczności zbrodni w Jedwabnem z lipca 1941 roku, ogniskowała się wokół pytania, jak mówić o polskiej historii. Andrzej Nowak, który zarysował wówczas dylemat „Westerplatte czy Jedwabne?”, opowiadał się za polityką historyczną, której symbolami będą Westerplatte i Monte Cassino oraz Powstanie Warszawskie i Katyń.

Tylko jak to zrobić, wiedząc, że pod Monte Cassino ginęli też „nasi chłopcy”, „wbrew ich woli” wcieleni do Wehrmachtu? Czy można o nich pamiętać? Poświęcać im wystawy?